

## W CZUŁYCH OBJĘCIACH ZDZIWIENIA

Skierowanie samopoznania – aktu definiującego współcześnie istotę człowieczeństwa, zastępującego religię i dręczącego koszmarem nienasycenia – na zewnątrz siebie prowadzi do doświadczania skrajnie odmiennych stanów. Z jednej strony ulegamy obietnicy dostrzeżenia własnej wyjątkowości, z drugiej – ryzykujemy konfrontacją z bolesnym faktem, że projekcja osobistych przeżyć na płaszczyznę społeczną uwypukli nasze wewnętrzne niedoskonałości.

Wykazując się pewną dozą samozaparciu można pohamować zapędy analityczne i zrezygnować z zdekodowania duchowych instrukcji podsuwanych jednostce przez jej kontekst, unikając tym samym zatopienia we wraźniowym chaosie. Można spojrzeć na siebie z boku dla czystej przyjemności patrzenia, bez silenia się na stawianie diagnoz, jak na skończone, stare-nowe dzieło stworzenia zacierające swą formą różnicę między naddatkiem a niedoborem.

Cyklem *Wszystko dookoła* Jacek Świągulski udowadnia, że z wielką łatwością pozwala porywać się pomysłowi oglądania (a raczej: podglądania) doskonale mu znanych obrazków z możliwie jak najbardziej obiektywnego punktu widzenia, celem wyłapywania w nich zupełnie nowych struktur znaczeniowych i jakości estetycznej. Poddanie prywatnej przestrzeni ocenie publicznej stanowi dopełnienie odkrywczych uciech – inicjując grupową wojerystyczną przygodę autor i bohater w jednym w sposób dosłowny przypatruje się swojemu życiu oczami osób trzecich.

W tego rodzaju autoprezentacji nie mogło zabraknąć postawienia lustra tuż przed twarzą, jak najbliżej, jakby w nadziei, że odpowiednio długo pieszczona spojrzeniem tafli szkła odłoni to, co skrywa skóra. Świągulski przygląda się licu z każdej strony, badawczo, ale nie po lekarsku, raczej jak zahipnotyzowane przez ciekawość dziecko. Dziecko o nad wyraz dojrzałej wrażliwości, które nie daje się przekupić szczegółowi i nie wbija wzroku w żrenicę czy zmarszczkę, lecz, wiedzione impulsem poszukiwacza, niecierpliwie chłonie zakamarki fizy w przekonaniu, że któryś przyniesie zaskoczenie zupełnie innej klasy. Niestety, fascynacja przeradza się w znudzenie, gdy staje się jasne, że jednostka napierana przez pustą przestrzeń sama staje się pustką – blaknie, rozpada się, zanika. By zabawa mogła trwać dalej, potrzeba oddalenia i zmiany perspektywy.

Fernando Pessoa, genialny apologeta potencjalności i niezdecydowania, w monumentalnej *Księdze niepokoju* oznajmia, że otoczenie jest duszą rzeczy. Świągulski robi humanistyczny krok naprzód i w otoczeniu odnajduje źródło ludzkiej natury. Opowieść o niej zawiązuje się w tym (nie)autobiograficznym cyklu dopiero, gdy na scenę wkracza druga postać, a wraz z nią nieskończony kosmos interakcji i zależności. Wkracza niespodziewanie, wynurzając się z głębin płótna jako byt zrośnięty z cudzym ciałem (*Szeptane spotkanie* i *Szare wspomnienie igrzysk*), by po chwili opuścić organizm gospodarza (seria *Duet liryczny*) i przyoblec własną cielesną powłokę. Jednostka poddana izolacji jest zastygłym erzacem samej siebie i ożywa w pełni tylko po zbliżeniu do innej istoty ludzkiej – nawet jeśli obydwie trwają w uścisku tak mocnym, że stanowią jedno, to rodzą wewnętrzne przesunięcia, drgania, nerwowość. Ruch i dyktowana nim relacyjność stanowią dla Świągulskiego najciekawszy i najbardziej wiarygodny wizjer na rzeczywistość. Wnikliwie obserwuje, jak dwoje ludzi tworzy konfigurację, jak dialoguje rozkładając między sobą ciężar i zaznacza swoją obecność w

przestrzeni, by rozpalić malarską wyobraźnię myślą, że za każdym przemieszczeniem stoi jakaś motywacja: pragnienie, nadzieja lub ból.

Świgulski drąży wątek i decyduje się na śmielsze eksperymenty formalne, by na ich drodze przeprowadzić próbę jak najdokładniejszego zdefiniowania emocjonalnych uwarunkowań dynamizmu. Cykl staje się jeszcze bardziej osobisty, ale Świgulski z powodzeniem balansuje między intymnym wydziwieniem malarskich odwzorowań, a ich czytelnością. W zderzeniu z najbardziej prywatną sferą trudno jest jednak zachować reporterską rzeczowość, dlatego szybko daje o sobie znać metafizyczne zacięcie autora. Wyrażone uwiecznionym na płótnie gestem dłoni, mocnym akcentem kolorystycznym, czasem samym tytułem konkretnego dzieła sugeruje, że ludzkie interakcje skrywają coś nieuchwytnego i nienazywalnego, ale szalenie ważnego. Tam, gdzie oko nie gwarantuje percypowania rzeczywistości na satysfakcjonującym poziomie, kiełkuje spirytualizm domagający się przefiltrowania codzienności przez (w tym przypadku: orientalne) sacrum. Klisze życiowej prozy nabierają baśniowego rozmachu, pozwalającego oderwać od nich wierzchnią dosłowność i zastanowić się nad dwoistym obliczem naszych decyzji (*Popołudniowa potyczka I i II*), utraconymi marzeniami (*Przebudzenie, Życie, którego nie było*) czy doświadczaniem braku (*Wyczekiwanie, Pożegnanie*). A każde z doznań nieustannie prowadzi do ruchu – nawet sylwetki uwiecznione w zastygnięciu zdają się kipieć potencjałem motorycznym, który lada moment wyzwoli je z inercji.

Stawiając za punkt wyjścia własną mikrokulturę i stopniowo ją dekonstruuując, Świgulski stara się nakreślić zespół nadrzędnych wartości dotyczących całej społeczności ludzkiej i popychających każdego z nas ku działaniu. Sceny rodzajowe pozbawione wyróżników czasowych, przestrzennych i tożsamościowych stają się omninarracją, naszą zbiorową historią, przy czym niewskazane jest skupianie się na wyobrażeniach kierunku, jaki obierze – liczy się terazniejsza możliwość dowolnego jej kształtowania i doświadczanie zaskoczenia. W dekadzie powszechnych manipulacji niejednoznaczność jest bliższa prawdzie, niż może się wydawać.

Krzysztof Badowiec